

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:	
w Wilnie	
Rocznie	7.00
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu	
Rocznie	8.--
Półrocznie	4.00
Kwartalnie	2.00
Miesięcznie	70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od
godziny 11 do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k.
W tekście (nadesłane)	1 rb.
Po tekście	20 k.

Numer pojedynczy 15 kop.

Czas odnowić prenumeratę na kwartał drugi.

Prawo i siła.

Obluda dyplomacji, maskująca wszelkie porachunki między państwami względami etycznymi, dawno już nie uderzała takim, jak obecnie, cynizmem. Notoryczni rabusie i gnębiciele, rządzący się u siebie w domu wyłącznie prawem pięści, stają w obronie „sprawiedliwości“... na Bałkanach. Naród albański, który ludzkości dawał dotąd znać o sobie tem tylko, że do świty sułtańskiej najdzikszych dostarczał drabantów—Europa nagle czuje się w obowiązku samodzielnej państwowości obdarzyć.

Nie można przecie dopuścić, by Grecy i Serbowie wynaradawiali Górali albańskich; by stawiali zapory rozwojowi ich własnej kultury. Byłaby to niesprawiedliwość, krzywda, o pomstę do nieba wołająca!

Zgodzili się na to wszyscy, konferujący w Londynie, ambasadorowie.

A potem przyszła kwestja Skodaru. Podniesiono i tu również względy „sprawiedliwości“. Stwierdzono, mianowicie, że wśród mieszkańców Skutari większość mają Albańczy. Do kogóż więc należeć powinno miasto? Oczywiście, do Albanji. Po tej stronie — słusność.

Ten nowy tryumf motywów humanitarnych cieszy poczciwych liberałów europejskich, nie wyłączając naturalnie berlińskich, którzy dopiero co głosowali za nowym kredytem—230 milionów marek — na „obronę“ kresów wschodnich.

Słusności praw narodowych... na Bałkanach, z niemniejszym entuzjazmem bronią i pansławiści Petersburscy. Echa ich przemówień w obronie „sprawiedliwości“ dolatują aż do Paryża, do Londynu, budząc tam rozrzewnienie powszechne.

Słowem, gdzie się obrócić—górami, od Boga dane—prawa narodów.

Gdy się o tem wszystkim czyta, mimowoli ciśnie się do głowy pytanie: jaki cel właściwie mieć może cała ta mizerna komedja? Czyż są jeszcze naiwni, którzy frazesy dyplomatów i ich dziennikarskich popleczników braliby na serio?

Otóż są. Lecz—co najszczególniejsze — nawet u nas, t. j. wśród narodu, będącego żywym świadectwem fałszu i hypokryzji deklamatorów dyplomatycznych, trafiają się ludzie, którzy poważnie zastanawiać się potrafią, czy „po sprawiedliwości“ ten a nie inny obrót wzięć powinien, którykolwiek z czynów politycznych. Stąd wnosić można, że błazeństwa dyplomacji nie są bezcelowe; że mogą one wciąż jeszcze sugestjonować i bałamucić masy, wpajając im przeświadczenie, iż kompas dziejów świata zwraca się stale w kierunku sprawiedliwości.

Naiwnej tej wiary nie rozpraszają ani monstrualne zbrojenia, ani wyprawy marokańskie, ani nawet położenie narodu, zajmującego środek Europy. Na Bałkanach ślepotą tłumu chce dziś widzieć i widzi zwycięstwo słusności. Nie dostrzega zaś, że jest to tryumf przedewszystkiem siły, która jedna tylko decyduje tak w walkach o wyzwolenie, jak o grabież.

Gdyby nie ten upór w łudzeniu się, głupota i hypokryzja nie wystąpiłyby swego czasu zgodnie przeciw najznakomitszemu z powieźców Bismarka: że „siła idzie przed prawem“. Z brutalnym cynizmem genjusz pięści stwierdził tu niewątpliwą prawdę.

Niema słusności, niema sprawiedliwości. Jest tylko moc.

Przez odkrycie to świadomość ludzka przejść musiała. I stać się ono powinno głośnym, popularnym, wszystkim znanym. Winno otworzyć oczy na rzeczywistość, wciąż strojona w bezwartościowe, choć barwne, szmaty frazesów.

Lecz równocześnie z popularyzowaniem tej prawdy, zauważyć należy, iż genialny prusak odkrył jej część tylko. Stawiając słusznie siłę przed prawem, zapomniał, że jedno i drugie — są to pojęcia względne. Co dziś jest siłą, jutro słabością okazać się może. Co dziś jest prawem — jutro za bezprawie uznane zostanie.

Słowa Bismarka, wierzącego w siłę, uzupełnia naiwna wiara tłumu — w sprawiedliwość. Bo w tem wszystkim, co sumienie i ślepy instynkt za słuszność poczytuje, tkwi zarodek rzeczywistej siły, która w odpowiednim momencie ujście dla siebie znajduje i prawo zdobywa.

Przejawem takiego właśnie wyzwolenia się siły ze słuszności był pogrom Turcji przez odwiecznych jej niewolników.

Ale fakt ten niema nic wspólnego z deklamowaną sprawiedliwością dyplomatów europejskich, liberałów wiedeńsko-berlińskich, panslawistów petersburskich, ani żadnych innych szalbierzy politycznych, umięających — w imię rzekomej sprawiedliwości — gnębić lub wyzwalać ludy dla własnych swoich widoków.

Na poczucie sprawiedliwości tych żywołów nigdy rachować nie należy; odwoływanie się do nich w imię słuszności jest najzwyczajszem głupstwem, na które jedyną odpowiedzią — drwiny.

Wszelkie żądania opierać wolno tylko na sile. Jednocześnie wszakże śmiało wierzyć można, że żądanie słuszne, w sprawiedliwości mające oparcie, siłę tę bodaj w zarodku posiada. Trzeba tylko wiedzieć, jak ją rozwijać, oraz jak i kiedy jej użyć.

J. S.

▷○○○○○○○○◁

Z serca Polski.

Kraków, d. 4 maja.

Tyle się nasłuchiwało o nędzy galicyjskiej, wywołanej tegorocznym przesileniem, że z pewną obawą wjeżdżałem do Krakowa.

Nie jest przyjemny widok czyjegoś cierpienia, gdy niema możliwości ulżyć mu. Trzeba jednak

M. PAWLIKOWSKI.

4)

Romans Wacława Błockiego.

Wieczorem przed balem zaszedł Bojański. Niósł ze sobą świeżość, zdrowie i nieświadomość.

Ira uczuła w sercu dziwne uklucie.

Jednak na powitanie mocno pocałowała narzeczonego w usta.

A on z nieskrywanym podziwem patrzył na smukłą postać, obleczoną w balową szatę seledynowej barwy. Obnażone ramiona oslepiły i onieśmiały przedziwną, „złocistą“ bielą.

Pogawędzili chwilę, poczem Bojański rzekł:

— Idę się przebrać. Do zobaczenia na balu.

Mogę cię prosić o kontredansa?

Drgnęła.

— Już tańczę.

— Tak? — zdziwił się z rozczarowaniem. — Do widzenia.

Gdy wyszedł, Ira pobiegła do buduaru, padła na szeszlony i wybuchnęła gwałtownem łkaniem.

być baczny obserwator i wejrzeć głębiej w życie ekonomiczne, by stwierdzić, że istotnie Galicja przeżywa ciężki kryzys. Na pozór nic się nie zmieniło. Kawiarnie przepelnione, na ulicach strójne tłumy, teatr, mimo iż jest nieszczególny, ma zawsze niemal pełno widzów.

Przyjezdny z zaboru rosyjskiego rozkoszuje się miłą, swojską atmosferą i z pewnym zniecierpliwieniem wysłuchuje narzekań i utyskiwań miejscowych malkontentów, którzy krytykują z reguły Kraków, Galicję, Austrię, bo nie zaznali stosunków innych.

Zapewne, nie wszystko tu stoi na poziomie doskonałości, lecz gdzie niema braków? Zbyt jednak widoczna jest najważniejsza cecha warunków miejscowych, która w naszych czasach może wynagrodzić wiele innych stron ujemnych. Galicjanin tak się jednak zżył ze swobodą polityczną, że jej należyście ocenić nie umie.

Na przybyśza z północy Kraków pod względem psychicznym wywiera to samo wrażenie, co niedalekie Zakopane pod względem fizycznym. Piers oddycha szeroko, prostują się zgarbione plecy, cały organizm się odmładza. I świat staje się miłszy, i ludzie bliżsi. W pewnych momentach szczególnie największy sceptyk nie może się oprzeć wzruszeniu, którego zresztą nie potrzebuje się wstydzic.

Budzi ono bowiem w duszy uśpione głęboko na dnie porywy i marzenia, które rzeczywistość zasypuje wciąż grubymi pokładami kurzu, a które stanowią jednak najlepszą część człowieka, których zanik zupełny wykreśliłby go z szeregu istot żyjących i tworzących życie.

Chwil takich wzruszeń podniosłych bynajmniej się nie przeżywa podczas obchodów uroczystych, gdzie strona obrzędowa, zewnętrzna przytłumia treść istotną. Nie w dniu 1 maja, gdy kilkudziesięcny tłum wędruje ospale przez miasto z olbrzymim czerwonym sztandarem na czele, na którym widnieje napis „Precz z wojną!“ i nie w dniu 3 maja, gdy przez Rynek przeciągają na Wawel niezliczone szeregi uczącej się młodzieży ze swemi godłami i orkiestrami, pochód zaś zamyka grupa opasłych sokołów na rasowych wierz-

Długo nie mogła się uspokoić. Dopiero kroki matki otrzeźwiły ją. Przemyśla oczy i zatarła pudrem ślady łez.

Szary zimowy zmrok zwolna osnuwał ziemię. Sinawe kontury kamienic tonęły w pomroce. W powietrzu krążyły pyłki suchego śniegu.

Błocki oparł czoło o chłodną szybę i martwo patrzył w szarawy bezkształt miasta za oknami.

Od chwili gdy wysłał list do Iry czuł, że go znów opanowuje wszechwładna a nieokreślona jeszcze, prawie niedostrzegalna a silna zmora znudzenia. Przeczucie mówiło mu, że wszystko dalej pójdzie, jak z płatka, że już skończył się prolog dramatu.

Dramatu?!

Smętny uśmiech przemknął po bladych wargach.

Próżno silił się, by przed oczami duszy stanęła olśniewająca, promienna, nęcąca postać Iry. Miast tej wizji, szła ka niemu z sinawych cieni mroku jakaś niejasna, mętna mara. Już go tykały jej chłodne, obojętne a mocne ramiona.

Wzdrygnął się.

chowcach. Na to się patrzy, jak na teatr, jak na zajmujące barwne widowisko.

Lecz kto chce doznać wrażeń istotnie wyjątkowych, gdzie sentyment narodowy łączy się harmonijnie z poczuciem budzącej się siły realnej, ten niech wczesnym rankiem pośpieszy któreś niedzieli lub w święto na pobliskie Błonie, ciągnące się aż pod kopiec Kościuszki. A gdy na tle szmaragdowej łąki i przebijających ranne opary swą czerwienią murów Zamku Królewskiego, ujrzy setki młodzieńców, przyodzianych w skromne popielato-granatowe kurtki, wykonywających swe ćwiczenia z zapalem i karnością — ogarnąć go musi wzruszenie na kształt tych, których doznają wierni wobec odbywających się tajemniczych misterjów eleuzyjskich.

Nie zdaje sobie dokładnie sprawy widz z oglądanego obrazu. Nie zna konkretnych celów i planów tej podzielonej na czwórki gromady. Czuje tylko, że w ustępujących pod działaniem wiosennego słońca mgłach powstaje jakaś nowa siła, tworzy się jakieś nowe dzieło, przy narodzinach którego danem mu było być obecnym.

Na Błoniach krakowskich zachodzi obecnie proces, którego skutki dadzą się odczuć niezadługo wszędzie, gdzie się rezlega mowa polska. Na arenę życiową wstępuje nowe pokolenie z odmienną psychiką, z inną ideologią, niż to, które budowało dotychczasowe programy walki klasowej, pracy organicznej, polityki ugodowej. Z rozmytych pierwiastków, z których się składa zbiorowa dusza polska, a które, sztucznie posegregowane, wytwarzały dotychczas nieprzejezdne, biegunowo przeciwne ugrupowania, obecnie żywiołowo niemal powstaje synteza, rozwijająca najważniejsze zagadnienia czynu narodowego.

Nie przesądzając doniosłości jej konkretnych form, w których się ona realizuje dzisiaj, podnieść należy olbrzymią wartość strony zasadniczej, ideowej, jako dążenia do skupienia rozbieżnych sił w imię powszechnego hasła, któremu na imię odrodzenie.

Dziwić się można, że największymi przeciwnikami nowego ruchu, najzjadlejszymi jego krytykami są te żywioły właśnie, które niedys tak

gorąco propagowały ideję zjednoczenia, a nie umiały znaleźć dla niej odpowiedniej formy. Czyżby pobudką do zwalczania była tu pospolita *jalousie du metier*? Tak wygląda.

Uporczywe przeciwdziałanie i ośmieszanie nie przeszkadza jednak, że młody ruch się rozwija i zyskuje coraz liczniejszych zwolenników. Dwa momenty zasługują w nim na szczególniejszą uwagę: wytworzenie nowego typu obywatela zpośród młodzieży oraz budzenie określonych dążeń ideowych w masach. Zarówno włóścianie jak robotnicy garną się nader chętnie do powstających organizacji, przejmując się duchem najpiękniejszych tradycji polskich, dla których urzędowi a jednostronni czciele przeszłości narodowej mają tylko pobłażliwy jeżeli nie ironiczny uśmiech.

Ruch ten, wywołany po części nastrojem chwili, krzepnie dziś i zakreśla sobie perspektywy odległe. Niepewna sytuacja perspektywy te to zbliża, to oddala.

Wytwarza się przez to zrozumiałe zdenerwowanie, które utrudnia pracę spokojną, twórczą u podstaw. Zagadnienia natury kulturalnej odchodzą na plan dalszy, co nie przeszkadza jednak, że nauka, sztuka, oświata kwitną i pod tym względem Galicja przoduje, jak dawniej, innym dzielnicom.

Prócz przesilenia, związanego z polityką międzynarodową, Galicja przeżywa obecnie zamęt wewnętrzny na tle walki o reformę wyborczą do Sejmu. Kwestja ta wymaga nieco obszerniejszego omówienia, niż by się to dało uczynić w luźnej wiązance wrażeń. W Krakowie zresztą nie budzi ona zbyt wielkiego roznamiętnienia. Właściwym terenem walki jest Galicja wschodnia, Lwów, gdzie Demokracja Narodowa posiada rozgążone wpływy. W Krakowie endecja, rzecz charakterystyczna — niemal nie istnieje. Drobną grupą daje znać o sobie od czasu do czasu, zwołując wiece, na które zbiera się znikomo szczupła ilość uczestników. Przytem żadnej roli w życiu publicznym nie odegrywa.

Zjawisko zupełnie naturalne, gdy się zważy, że ludność tu jest jednolita i nie daje pola do popisywania się płytkim patryjotyzmem, polegają-

Przypomnił czasy młodości, czasy pierwszych schadzek. Przypomnił, jak mu serce waliło w zdławionej piersi, a głowa kręciła się od zawrotnej, upojonej radości.

Teraz wszystko zmartwiało w nim i skostniało. I tylko jakaś moc, co była nie w nim, a po za nim, pchała go dalej po wybranej drodze.

Ira...

Drgnął i uczuł ożywcze ciepło.

Mara znudzenia znikła, i w całym jestestwie zadrgał ferment pożądania.

Widział białe, cudnie białe, aż złociste ciało Iry, drzące pod ciężarem jego głodnych spojrzeń. Uczuł na ustach dotyk czerwonych, soczystych, uświadomionych warg. Posłyszał szept uduchowionej zmysowości.

Wije się barwny korowód postaci, haftowany czarnymi plamami fraków.

W powietrzu zmieszany zapach perfum i wędniejących kwiatów.

Od lśniącej posadzki bije blask kinkietów.

Blocki, pod rękę z Iry, idzie w korowodzie barwnych par.

— Odebrała pani moją kartę?

— Tak.

Rozłączono ich. Martwo, prawie odruchowo stąpa po posadzce, wpatrzony w jakiś niewidzialny punkt.

Znów spotkali się. Znów ujął jej rękę w swą dłoń.

— ...i nic mi pani nie mówi?

Powłóczyście, wymowne spojrzenie.

— Iro...

Ręka, którą trzymał w swej dłoni, lekko drgnęła. Na policzki wystąpiły słabe rumieńce. Przymknął oczy.

— Iro... Zbliża się chwila, gdy na wieki będziemy rozłączeni... gdy legnie między nami mur, którego żadne z nas przekroczyć nie ośmieli się... odejdziemy każde w swą stronę... Wszystko wtedy będzie stracone...

Znów rozłączyli się.

— Iro... Między nami nic nie było, tak, nic nie było... Ale musi, musi być coś...

Po chwili kroczą pod rękę.

cym na ustawicznym jątżeniu antagonizmów narodowościowych.

Nieprzejednane stanowisko względem projektowanej reformy wyborczej, jakie zajęła Demokracja Narodowa, pochodzi zresztą, jak mnie tu objaśniono, bynajmniej nie z pobudek egoizmu narodowego, lecz egoizmu partyjnego. Ustępstwa, poczynione rusinom przez projekt reformy, są w istocie dość umiarkowane i wywoływać oburzenia nie mogą nawet w najżagorzalszym obrońcy polskiego stanu posiadania w Galicji wschodniej. Reforma stanowi tylko pretekst do kampanji przeciwko znienawidzonemu namiestnikowi Bobrzyńskiemu, którego obalenie jest najgłówniejszym obecnie celem miejscowej endecji.

To też gdy, dzięki wystąpieniu episkopatu polskiego, stańcy zmuszeni zostali do cofnięcia się i projekt reformy nie mógł liczyć na uchwalenie przez Sejm—ze strony Demokracji Narodowej rozległy się tryumfujące głosy: obaliliśmy Bobrzyńskiego!

Zdaje się jednak, że radość jest przedwczesna. Prawdopodobnie namiestnik ustąpi na razie, bo Sejm zostanie rozwiązany i wyborami będzie kierował inny urzędnik; po wyborach jednak Bobrzyński znów obejmie swe stanowisko, gdyż jest uważany w Wiedniu, jako jedyny mąż stanu, który może piastować odpowiedzialny ten urząd.

Bezstronność każe wyznaczyć, że pogląd władz wiedeńskich nie jest pozbawiony słuszności; Bobrzyński bowiem jest politykiem pierwszorzędnym i nie widać na horyzoncie nigo, kto by mógł się z nim mierzyć. Można się nie zgodzić z jego koncepcją, polegającą na ścisłym utożsamianiu interesów narodowych polskich z interesami państwowymi austrijackimi, ale w obozie konserwatywnym panuje wyłącznie ideologia sceptycyzmu względem własnych sił. W każdym razie wyższą jest ideologia Bobrzyńskiego od metod, uprawianych przez Dmowskiego i Głabińskiego, spoglądających z rozczuleniem na neoslawistów.

Okoliczność ta jest powodem, że żywiły demokratyczne polskie popierają do pewnego stopnia Bobrzyńskiego, chociaż ten jest zaciętym wstecznikiem pod względem społecznym. **Wester.**

Wrażenia poznańskie.

II.

Przy panujących obecnie stosunkach polskie życie umysłowe w zaborze pruskim ledwo, ledwo tleje. Niema tu ani literatury, ani sztuki, ani nauki; nawet publicystyka — mimo olbrzymiej poczytności dzienników — stoi na poziomie rażąco niskim. Prócz paru wydawnictw Demokracji Narodowej i jednego polskich junkrów—reszta pism (nawet wiele rozpowszechnionych) grzeszy prostactwem myśli i formy. Słynne ongi Tow. Przyjaciół Nauk z trudem dziś wegetuje, okazując niejaką ruchliwość tylko w dziedzinie archeologii. Próżnoby szukać sprawozdań z działalności tej instytucji. Śród inteligencji, po domach prywatnych, odbywają się wieczory t. zw. „literackie“, których uczestnicy odczytują referaty z zakresu historii, traktowanej po dyletancku i z sentymentalizmem pamiętnikarskim. Ruch wydawniczy, książkowy, o ile nie sięga po pióra zakordonowe, bezwartościowym balastem obciąża literaturę. Drukowane obficie, kosztem zamożnych autorów i autorów, poezje, dramaty i powieści — są w olbrzymiej większości płodami poronionymi. Jeśli nawet tu i owdzie widnieją ślady talentu, to cierpi on prawie zawsze na niedorozwój, nie mówiąc już o anachronizmach idejowych. Nie lepiej dzieje się i w innych odłamach sztuki. Bardzo nieliczni malarze poprzestają na kopjowaniu widoczek z natury w stylu oleodrukowym. Dodać trzeba, że powszechna pruderja nie toleruje aktów ludzkich. Ta sama pruderja wykreśla z repertuaru teatralnego często najlepsze dzieła literatury scenicznej. Dość powiedzieć, że cenzura Spółki Teatralnej potępiła „Pannę Maliczewską“ Zapolskiej. Skazano również na banicję „Złotą czaszkę“ Słowackiego, „bowiem nie godzi się, by przez scenę przechodziła procesja“.

A pamiętajmy, że całe to bagienko polskiego życia umysłowego kwasi się w bezpośrednim sąsiedztwie rwących naprzód potoków kultury niemieckiej, pulsującej aktualnością i nie stawiającej żadnych granic ciekawości ludzkiej. Silne dopły-

Głos jego z szeptu przechodzi w lekki szelest, niby poszum liści.

— Iro... Musi być coś.

Patrzy mu w oczy jakoś dziwnie jasno. W tem spojrzeniu niema refleksów sugestji, niema zapamiętania, niema pożaru żądz. Jest tylko jasna, otwarta prawda: Wyraźnie słyszy szept, już nie szept—głos:

— Musi.

W tem potwierdzeniu niema niewolniczego podania się, niema desperackiego „niech raz będzie!“, niema zapamiętania. Jest tylko niezłomne, mocne przekonanie.

— Musi być coś.

Potem więc, prowadząc pod rękę na miejsce, szepnął prawie rozkazująco.

— Jutro o szóstej, u mnie.

Lekko skinęła głową i poszła ku miejscu, gdzie widniała wysoka postać Bojańskiego. Na jego widok Wacław uczył dreszcz.

Mroki zimowego wieczoru pełzały po ścianach salonu. Fioletowe kwadraty okien, pokryte wzorzy-

stemi hieroglifami szronu, martwo zaglądały do wnętrza.

Blocki nie zapalał światła i prędko chodził po pokoju.

Chwyciło go nerwowe drżenie. Dotąd, gdy z premedytacją i zabiegliwością brał się do imprezy, miał w sobie niezmaconą pogodę i spokój — spokój, chwilami graniczący ze znudzeniem. Teraz, gdy za chwilę tu, do jego mieszkania, miała wkroczyć Ira—kobieta z jej finezyjnym czarem zmysłowości, z jej zagadkowym uśmiechem ponętnych warg, z wężową a smukłą postacią,—chwycił go niepokój. „Tremy“ takiej dawno nie doznawał. Dawno, — bo od czasów swych pierwszych schadzok. Tam było uczucie, czasem zapamiętanie—namiętność, tu uczucia nie było, lecz było „niebezpieczeństwo“, a przede wszystkim „oryginalność“.

Mrok zupełnie otulił salon mgłą pomroki, a on chodził szybkimi krokami, to przystając i słuchając szmeru ulicy, to wysiłkiem woli tłumiąc dławienie w piersi i drżenie nóg.

wy tej kultury przynoszą do Poznania cały spólczesny europejski dorobek ducha: w wystawach księgarń niemieckich pojawiają się coraz to nowe dzieła literatury światowej i wydawnictwa, popularyzujące rozmaite krańcowo wyspecjalizowane gałęzie wiedzy; w oknach „kunsthändlerów“ podziwia się plody najśmielszej techniki i fantazji, reprodukcje arcydzieł pendzla i dłota; organizowane przez „Vereiny“, koncerty dają pole popisu najznakomitszym wirtuozom, rozpowszechniając równorzędnie zamiłowanie przede wszystkim do muzyki niemieckiej; wreszcie teatr niemiecki olśniewa bogactwem, świeżością i odwagą nowoczesnej literatury scenicznej.

Wszystko to nie może pozostać bez wpływu na środowisko polskie. Fale kultury niemieckiej wciąż z niego wyrywają jednostki śmielsze, ciekawsze, oszłomione duchową żywotnością najeźdźców wobec leniwej wegietacji społeczeństwa własnego.

O tem, że w Krakowie, Warszawie, Lwowie polskie życie umysłowe płynie szerzej i mocniej, niż w Poznaniu, bardzo wielu poznańców zgoda nie wie. Bo i skąd ma wiedzieć? Szkoła niemiecka wtłacza w umysły przeświadczenie, że z kulturą niemiecką żadna inna mierzyć się nie może; bezwzględny zaś konserwatyzm inteligencji polskiej hamuje dopływ nowoczesnej produkcji intelektualnej innych dzielnic. To samo, co z „Panną Maliczewską“ i „Złotą czaszką“ w teatrze, powtarza się we wszystkich innych dziedzinach twórczości. O Żeromskim, Sieroszewskim i t. p. mówi się tu, jak o potępionych gorszycielach, wyrotowcach. Najwspanialsze gwiazdy spólczesnej literatury naszej spotykają się w prasie poznańskiej z niezdarzonymi szyderstwami.

To wcale nie przypadek, lecz zjawisko najzupełniej naturalne, że Przybyszewski pierwsze swe prace ogłaszał po niemiecku. Przeciwnie—za traf wyjątkowy poczytywać można, iż nawrócił się on ku piśmiennictwu polskiemu. Przejrzyjmy katalogi nakładców berlińskich i lipskich, a przekonamy się, ile tam nazwisk polskich—autorów niewracających. To samo w malarstwie, to samo w muzyce, to samo—nawet jeszcze w większej mierze—w nauce. Wszystko są to ludzie, szukający dróg nowych, którzy nie znajdują na nie wyjścia z zaduchu kultury rodzimej.

Pomiędzy jednostkami temi, a tłumem istnieje warstewka pośrednia—hermafrodytów kulturalnych. Są to ludzie bardzo przywiązani do polszczyzny, ale zaspakajający swe potrzeby duchowe—szersze, niż ma ogół—wyłącznie u źródeł niemieckich. Osobniki te przedstawiają nadzwyczaj oryginalną komplikację umysłową. Gdy się mówi z nimi po polsku, wypowiadają poglądy wsteczne, używają języka prostackiego i okazują krańcową nietolerancję względem wszelkich „nowinek“; skoro jednak tylko odezwą się po niemiecku, zmieniają się do niepoznania: stają się postępowe, wolnomyślnie i elokwentne.

Dziwaczne to zjawisko uderza prawie wszystkich przybyszów z Królestwa i Galicji, którzy mają sposobność nieco dłużej przemieszkać w Poznaniu.

Wskazuje ono, że Wielkopolska posiada już materiał dla przełamania zastoju życia umysłowego, że niecierpliwie czeka na człowieka, któremu wypadnie tu odegrać rolę, jaką swego czasu odegrał Świętochowski w Warszawie.

Żywioty, na których wodzowi takiemu oprócz się wypadnie, częściowo są dziś rozproszone i bez-

radne, częściowo znajdują się na drodze do germanizacji, częściowo zaś wytwarzają lekki ferment w szeregach Demokracji Narodowej. Z rozmów, które z ludźmi tymi prowadziłem, wnoszę, że uświadamiają sobie coraz wyraźniej potrzebę złączenia się pod jakimś wspólnym hasłem i pod jedną komendą.

Coś się tu budzi.

Do przebudzenia tego przyczynia się Wyspiański, który jeden z całej Młodej Polski trafić umiał do uspiionych dusz wielkopolan. On jeden, nie drażniąc, podrażnić zdołał i z kultu świętej przeszłości wysnuć zapładniające przecucia odrodzenia.

Gdy siedząc ukryty w łożu teatralnej, przyglądałem się wrażeniu, jakie sprawiał Wyspiański na tłumie—tym samym tłumie, który nie chce „Złotej czaszki“ z procesją—gdy dostrzegalem, jak ludzie ci, często nic nie rozumiejąc, zawsze wszystko doskonale czują, pojąłem nietylko ogrom genialności poety, ale i to, że przysły wódz odrodzenia Poznańskiego coś z Wyspiańskiego w sobie mieć musi.

Czy prędko się taki człowiek znajdzie?...

Mówił mi pewien poznańczyk, jeden z tych, co ferment czynią w obozie nar.-demokratycznym, że gdyby dziś zjawił się tam Świętochowski, miałby zadanie trudniejsze, niż ongi w Warszawie, skutkiem braku żydów spolszczonych.

I prawda.

Ale kto wie, czy właśnie robota jego nie byłaby przez to solidniejsza i nie tak bardzo narażona na czeze walki z duchem narodowym. Winna się ona oprzeć na mieszczaństwie polskim, które stopniowo wylania z siebie burżuazję. Burżuazja ta jest wprawdzie jeszcze słaba, nieliczna, ale spotykane w niektórych organach naszej prasy twierdzenie, jakoby żywioł polski wypełniał w Poznaniu tylko szeregi małowyszczarstwa—nie zgadza się z prawdą.

Obok drobnych kupców i rzemieślników, mnoży się liczba zarówno przedsiębiorców na wielką skalę, jako też pracowników w zawodach wyzwolonych. Już dziś w Poznaniu mamy kilka poważnych banków, opartych na kapitałach polskich, pojawiają się domy handlowe, prowadzące interesy w poważnym stylu, centrale kooperatyw rozwijają coraz żywszą działalność, zapoczątkowuje się też ruch ku uprzemysłowieniu miast, a równocześnie przybywa coraz więcej adwokatów, lekarzy, inżynierów i t. p. — Słowem, stale rozszerza się środowisko, którego idejologia w hasłach postępowych wyraz znajduje.

A gdy pojawi się tu polski liberalizm (przez który ewolucja kulturalna nieodzownie przejść musi), zastanie w Poznańskim grunt przygotowany w sposób zgoda wyjątkowy. Wyjątkowość ta polega na niezwyklej skojarzeniu konserwatyzmu idejowego z postępowością praktyczną.

Nietylko bowiem gospodarka rolna jest w Poznaniu bardziej postępową, niż gdziekolwiek w Polsce, lecz wogóle wszystko, co walki o byt dotyczy, doszczętnie zerwało przesadami. Za przykład niech posłuży choćby takie zjawisko, jak ogłoszenia matrymonjalne w prasie klerykalnej; lub choćby fakt, że Poznańskie—ta dzielnica najreligijniejsza, najmocniej katolicka—pierwsza i dotąd jedyna—pospieszyła skorzystać z inicjatywy kurji rzymskiej, by zmniejszyć liczbę świąt. Mimo panowania księży nad wszystkim, co się tu robi, nie widzimy zbytnej bigoterji; w każdym razie jest ona bez porównania słabsza, niż choćby na

(konwencja 14 sierpnia 1865), gdzie Prusom przyznane zostało księstwo Lauenburgu, drogą dywersji w stronę Francji i Włoch, drogą na Langensalze, gdzie rozbite zostały wojska Hanoweru, drogą na Sadowę, Nikolsburg i Pragę — Bismarck został panem księstw północnych. Holsztyn został wzięty w posiadanie przez wojska pruskie 11 czerwca 1866. Pomimo artykułu 5 traktatu praskiego — północnych okręgów Szlezewiku Prusy nie wydały¹⁾.

Nie pytano ludności tych księstw o zdanie, z kim chcą losy swoje związać. Ludność nie chciała Prus. Zaraz w pierwszych wyborach posłała do sejmku posłów postępowych, opozycyjnych. Odtąd nie przestawała protestować przeciwko zaborcom.

Pacyfikacja dotyczy prowincji i liczy już lat blisko pięćdziesiąt. Przechodziła kilka okresów. Była bądź gwałtowna, bądź znowu więcej pokojowa. Kilkakrotnie rząd pruski postanawiał skończyć raz na zawsze z „kwestją duńską w Niemczech” i wtedy gorze szlezwickim chłopom i pasterzom! To znowu — Wilhelm żenił się z córką księcia na Augustenburgu, zamykał się rozdział dziejów wojennych dwu dworów i dynastji; chciano pozyskać serca ludności — prześladowania na krótką chwilę ustały. Ale te przerwy były krótkotrwałe. Męka Szlezewiku trwa już lat blisko pięćdziesiąt. (Konstytucja pruska obowiązuje w księstwach od roku 1867).

Ludność mogła „optować”, t. j. wybrać jedną albo drugą ojezyczną, Danję albo Prusy. Wybierano Danję, ale pozostawano w kraju, na roli, przy warsztacie. Emigrować mogli tylko rodziny, zaopatrzone w środki. Chłop musiał zostać, acz siebie za duńczyka uważał i duński posiadał paszport. Przychodzi okres prześladowania. Nastaje nowy satrapa, na polskich albo alzackich wzorach wychowany. Ludność, mieszkająca w kraju za duńskim paszportem, ludność odwiecznie szlezwicka, otrzymuje rozkaz wyjazdu; natychmiast, wciągu jednej doby. Starcy osmdziesięcioletni od tyłuż dziesięcioleci na tej ziemi osiadli, kobiety ciężarne, dzieci chore — wszystko w drogę natychmiast! Wygania się służących, robotników, pracujących u osób, znanych z sympatji duńskich. W okresie 1898 — 1900 wypędzono w ten sposób około tysiąca biedaków. Grożono wygnaniem ludziom, którzy dzieci swoje w Danji kształcą. Jednak groźby czynem nie poparto, ile że nie było ustawy, na którejby czyn taki mógł być oparty.

Ażeby powiększyć liczbę tych, których prawo usuwać z kraju pozwala, zaczęto tworzyć poddańców duńskich. Kto „optował” za Danią, miał zawiadomić o tem urząd pruski w pewnym terminie i wynieść się do Danii. Krvstjan Finneman głosował za Danią 27 grudnia 1866 r., jednak już 17 stycznia r. n. unieważnił swój wybór. Pozostał w Szlezewiku, był wójtem, radcą prowincjonalnym, słowem korzystał ze wszystkich praw, przysługujących obywatelowi pruskiemu. Jednak w pewnej chwili *trzeba było go wygnąć z Szlezewiku*. Znajduje się żandarm, który zeznaje, że Finneman był w styczniu 1867 r. przez kilka tygodni w Danji, znalazła się i dunka, która zeznała, że pozostawał w Danji pół roku (na sądzie te sześć miesięcy w toku rozprawy zmalały do trzech tygodni). Żandarm zeznał następnie, że się mylił, że nie był wcale w kraju, w styczniu 1867 r. Dunka zeznała, że

uczyli ją przed rozprawą sądową landrat (Becherer), jego pomocnik (Valentiner) i żandarm; otrzymała dwadzieścia marek i przyrzeczono jej dwa tysiące na wypadek, jeżeli Finneman będzie ukarany na podstawie jej zeznań. Jednak mimo to wszystko Finneman został wypędzony. Deputowany H. P. Hansen za to tylko, że stwierdził w druku fałszywe świadectwo kilku osób urzędowych, powędrował do więzienia na trzy miesiące (1905).

Katarzyna Nielsen, wdowa po wyrobniku, poddana pruska, z trudem odchowała dziesięcioro dzieci. Z trudem udało się jej chłopca umieścić w drukarni dziennika duńskiego we Flensburgu. Sędzia pokoju Hahn, dowiedziawszy się o tem, oświadczył, że jest niegodna chować inne dzieci swoje; dzieci te odebrał i powierzył do chowania niemcom...

Kary prasowe w tym samym czasie niszczyły dzienniki duńskie, wychodzące w Szlezewiku. Zamykano stowarzyszenia duńskie i kościoły — pod pozorem pękniętej belki, grożącej pobożnym; rozpędzano mityngi pod pozorem złego oświetlenia sali, albo pod pozorem zarzutu, że uczestnicy przybyli uzbrojeni... w laski. W czasie bankietu duńskiego przyszedł rozkaz zamknięcia sali; wypędzono gości, a salę przybraną opieczetowano: stoły pozostały nakryte na paręset osób, obiad przygotowany zastygł i pokrył się pleśnią — sąd najwyższy po roku dopiero nakazał zdjąć pieczęcie...

11 stycznia 1907 r. stanęła umowa pomiędzy Danią a Niemcami, która miała stan rzeczy polepszyć. Według ustaw duńskich, jest obywatelem, kto się urodził na ziemi duńskiej; prawo duńskie uznaje jus sanguinis, t. j. przynależność państwową dzieci, pochodzących od ojców duńczyków bez względu na miejsce zamieszkania tychże dopiero od 17 kwietnia 1898 r. (według ustawy z dnia 19 marca r. b.). Kto tedy urodził się w Szlezewiku pomiędzy rokiem 1857 a 1898 z ojców albo z matki (gdą chodzi o dzieci naturalne), którzy wybrali za ojezyczną Danję, nie posiadał prawa obywatelstwa ani w Niemczech, ani w Danji. Rząd duński chętnie by im przyznał naturalizację, jednak było to dla nich bez korzyści, bo jako „duńczycy” mogli być w każdej chwili wydalenni ze Szlezewiku, w którym na świat przyszli i którego od urodzenia nie opuszczali. W myśl konwencji z r. 1907 rząd pruski wyrażał gotowość naturalizowania tych wszystkich bezojczyźniaków (vaterlandlose), którzy urodzili się w Szlezewiku pomiędzy rokiem 1867 a 1898 i którzy wyrażają gotowość pozostania w poddaństwie pruskiem. Przyrzekł *ustnie*, że rozciągnie przywilej naturalizacji na ich braci i siostry, urodzone przed „opcją” z roku 1867, albo po roku 1898 pod warunkiem, aby ci ostatni z niemi razem mieszkali. Konwencja ta miała zamknąć martyologję ludności Szlezewiku. Zamknęła jeden tylko jej rozdział.

Artykuł V traktatu praskiego (1866 r.) orzekał, że ludność północnego Szlezewiku będzie mogła drogą plebiscytu być przyłączona do Danji. Artykuł ten nie został wykonany. W ciągu lat dwunastu trwał na papierze, jako zobowiązanie do wykonania; w r. 1878 został przekreślony i cofnięty za zgodą Austrii, która za cenę tego zrzeczenia otrzymała poparcie Bismarcka na kongresie berlińskim w kwestji Bośni i Hercegowiny. Owóż, w ciągu tych lat dwunastu tysiące młodzieży szlezwickiej wynosiło się do Danii, aby nie służyć w wojsku pruskiem, później niemieckim w szczególności w r. 1870. Obliczono, że wyszło w ten sposób ze Szlezewiku około sześćdziesięciu tysięcy

¹⁾ Artykuł ten, przeforsowany przez Napoleona, orzekał, że w północnych okręgach drogą plebiscytu ustalona będzie opinia mieszkańców, czy chcą być przy Prusach, czy przy Danji. Nigdy artykuł ten nie był wykonany.

ludzi, trzecia niemal część ludności, mówiącej wyjątkowo po duńsku. W kraju odczuwać się dawał z roku na rok większy brak ludzi do pracy. Sproawadzano tedy robotników z Danji. Ci osiadali w kraju, żenili się tutaj, zakładali rodziny. Ich dzieci atoli, w szczególności te, które na świat przyszły przed rokiem 1898, nie są ani poddanyimi niemieckimi, ani duńskimi—są „bez ojczyzny“; mogą być w każdej chwili wygnani z kraju. Wypędzano ich też w okresie rządów osławionych prezydentów von Köllera (1898—1903) i von Wilmowski'ego. Pozostało ich po rok ostatni dwa do trzech tysięcy. Około r. 1909 zaczęto ich ścigać bez litości. W kwietniu i w lipcu 1909 dwaj tacy robotnicy otrzymują rozkaz wyjazdu albo *porzucenia żon*. To jest nowy moment martyrologji Szlezwiaku. Żon ślubnych, oczywiście. Bo dzieci zrodzone z małżonek nieślubnych, poddanek pruskich—będą poddanyimi pruskimi, których rząd ścigać nie może. Dzieci zaś ślubne, a więc noszące nazwisko ojca, będą dźwigały jarzmo jego stanu, jego przynależności państwowej, będą duńskiej przynależności. A że tę chciałby rząd pruski w Szlezwiku unicestwić, wypruć, z korzeniem wytepić, tedy *zwalcza ślubne małżeństwa*. *Difficile est satyram non scribere!* Rząd pruski, dobrych obyczajów, jak wiadomo, piastun—obroncą wolnej miłości i dzieci nieślubnych!

Jest parobek wiejski Lars Lind. Był poddanyim pruskim, wolnym, nietykalnym. Nagle został wywołańcem, banitą. Lars Lind był synem naturalnym poddanego duńskiego i poddanej pruskiej panny Lind. Zapisany był, jako syn nieślubny matki, bez ojca, poddany pruski. Jednak na jego nieszczeście, rodzice w późniejszym wieku postanowili uprawnić związek małżeński w urzędzie i kościele. Natychmiast urząd postanowił uprawnić i Larsa Lindę, zmienił mu nazwisko na ojcowskie, pozbawił go poddaństwa pruskiego, a ponieważ był żonaty, kazano mu wynosić się w ciągu dwudziestu czterech godzin. Gdy mimo nakazów nie ruszał się z miejsca, skazywano go na grzywny, a gdy tych grzywien nie płacił, zamykano go w więzieniu. (Dwukrotnie w r. 1911, trzykrotnie 1912, raz jeden dotychczas w 1913 r.). Nakazy adresowano według nazwiska ojca: Jensen. Lars Lind nakazów nie przyjmował, twierdząc, że nie są do niego adresowane. Ostatnio tedy pisano do niego z urzędu: „Do robotnika Larsa Jensena, który od niedawna nazywa siebie Lind..“

Niedawno prasę europejską obiegła tragiczna historia Madsa Egholma z Bröns. Ojciec jego był poddanyim duńskim, więc choć urodzony i wychowany w Szlezwiku — pozostał wywołańcem, „bez ojczyzny“. Ożenił się w r. 1911 i otrzymał natychmiastowo nakaz opuszczenia powiatu. Prezydent regencji skasował nakaz eksmisji, jako bezprawny. Jednak Mads Egholm zostaje mimo to wydalony natychmiastowo z terytorjum pruskiego. Wynosi się do Danii, ale wnet powraca. Stawiony przed sądem z tytułu bezprawnego powrotu, skazany zostaje na grzywnę 300 marek, które mu, jako niezamożnemu, zamieniają na czterotygodniowe więzienie w Szlezwiku. Żona jego, chora, miała rodzić; teściowa, mieszkająca u niego, umierała na raka. Mads wędruje do więzienia, kobietami musi się zająć dobroczynność publiczna. Zaledwie powrócił, doręczają mu dzień po dniu dwa nakazy wyjazdu: znowu grozi mu kara 300 marek albo miesiąc więzienia. Mads zostaje. Sąsiedzi, oburzeni bezwzględnością i prowokacją władz pruskich, występują z petycją, którą zgłaszają do parlamentu. W petycji Mads nazwany jest „robotnikiem

spokojnym, zdolnym i uczciwym, który pracą rąk żywił żonę, dziecko, matkę i teściową i który nigdy nie zajmował się polityką“. 24 stycznia 1912 r. Mads jest znowu pod kluczem, tym razem na przeciąg ośmiu tygodni. 16 kwietnia wraca znowu do celi, tym razem na przeciąg dwunastu tygodni. 9 lipca, zmęczony, jedzie do Danji wypocząć u krewnych. Po krótkim tam pobycie wraca do chorej żony. Codziennie odwiedza go odtąd woźny w celu osobistego doręczenia nakazu wyjazdu. Dobrzy ludzie, przewidując, że nieszczęśliwego banitę znowu zamkną gotowi, zarządzają składkę i wysyłają całą rodzinę do Danji, aby tam spokojnie mogła wypocząć. Podczas ich nieobecności władze przybijają na drzwiach mieszkania nakaz natychmiastowego i osobistego stawienia się w urzędzie.

Mads wrócił dopiero 20 listopada. Nazajutrz otrzymał nakaz zapłacenia 300 marek i opuszczenia terytorjum pruskiego w ciągu 24 godzin pod groźbą dalszej grzywny 300-markowej. W ciągu pięciu dni kolejnych z wyłączeniem niedzieli—22, 23, 25, 26 i 27 listopada nakaz ten był ponawiany. Ilość tygodni więzienia, które groziło, podnosiła się z 4, 8, 12 do 20 tygodni. Odwołał się do prezydenta, do ministra. Nadaremnie. Powiedziano mu, że mógłby uniknąć kary, gdyby chciał opuścić północne okręgi Szlezwiaku. Jednocześnie nakazano, aby Mads stawił się w więzieniu 16 grudnia. Tegoż dnia nie było już Madsa w domu. Z rodziną wywędrował do Danji,—odległej o dwie godziny od Bröns,—aby spokojnie spędzić święta Bożego Narodzenia.

1 lutego 1913 r. na skutek interpelacji Hansena i kolegów, w poparciu petycji, — z których jedna nosiła trzydzieści trzy tysiące podpisów — podsekretarz stanu Stolz taką złożył odpowiedź w Sejmie pruskim: „Co dotyczy banitów, *vaterland-slose, to polityka nasza nie może kierować się innemi względami, jak tylko stanowiskiem narodowem, niemieckiem*. Jeżeli są prześladowania, rząd żałuje ich. Ale Mads Egholm może w istocie rzeczy mieć pretensje tylko do siebie. Spieszę dodać, że banici nie są prześladowani dlatego, że zawiązują związki małżeńskie, ale dlatego, że *stwarzają sobie stanowiska niezależne pod względem ekonomicznym (!)*“.

Trudno o cynizm bardziej rozbijający. Jednocześnie dowiaduje się świat, że nacjonalisci pruscy w Szlezwiku ¹⁾ (ich główny publicysta nazywa się Streckerjan) prowadzą z ludnością duńską wojnę ekonomiczną. Na statkach wojennych niemieckich przybito ostrzeżenie, aby marynarze nie kupowali nic u pewnych wymienianych z nazwiska kupców w Aabenraa (Apenrade), jako niepewnych pod względem patriotyzmu *niemieckiego*. Żołnierz w czynnej służbie, u którego znaleziono numer dziennika duńskiego „Flensborg Avis“, zostaje ukarany aresztem i pozbawiony urlopów na czas trzech miesięcy.

Pomimo ustawy ogólnej z r. 1908 rząd rozwiązuje zgromadzenia duńskie, nawet kościelne. Zaczyna też prowadzić politykę kolonizacyjną na podobieństwo tej, którą od ćwierćwiecza z takim skutkiem prowadzi na kresach polskich Rzeszy niemieckiej.

Cóż dodać do tych dokumentów? Poco je w dalszy ubierać komentarz? Cokolwiekby powiedzieć, osłabimy tylko wrażenie prawdy życia. Czy w Polsce, czy w Alzacji, czy w Szlezwiku, na wszystkich kresach jednaka jest zaboreza, bez-

¹⁾ Ich dziennik nazywa się „Schleswigsche Grenzpost“, subwencjonowany przez rząd.

względna polityka eksterminacyjna pruska. Ta polityka nazywa się kulturą. Zupełnie, jak niegdyś, przed pięciu wiekami, przed Grunwaldem. Ta i owa polityka nazywała się w pojęciu krzyżackim — *kulturą*. Dziś rycerz krzyżowy nazywa się Streckerjanem na północy, alzateczycy nazywają go Knatschke albo Monsieur Schweinkopf. Istota rzeczy pozostała ta sama.

A ci, co byli, będą i pozostaną.

Stanisław Posner.

◁○○○○○○○○○▷

W sprawie teatru zimowego.

Przed kilku dniami w „Kurjerze Litewskim“ pojawił się artykuł, wskazujący p. Lelewicza, jako poważnego kandydata na dyrektora sceny wileńskiej po przeniesieniu jej do nowego gmachu.

O kandydaturze tej pragnę kilka słów powiedzieć.

Zastrzedz się jednak muszę zgóry, że nie występuję tu w obronie żadnego innego reflektanta. Nie wiem bowiem, jakie oferty otrzymał dotąd zarząd Tow. Popierania Sceny. Te zaś, o których się mówi, na szczególną obronę nie zasługują.

P. Lelewicz jest to aktor świetny. Jako reżyser i komik operetkowy, postawił on swojego czasu ten dział sztuki na wysokim poziomie w teatrze lwowskim i był przez długie lata ulubieńcem tamtejszej publiczności. Po opuszczeniu sceny lwowskiej przez p. Lelewicza, operetka tu podupadła i dotąd jeszcze ściąga ona mniej publiczności, niż dramat i komedia.

Są ludzie, których to cieszy. Przyznaje, że do nich należę, choć wcale nie zapoznaję wybitnego talentu p. Lelewicza. Zdaje mi się wszelako, iż p. Lelewicz, jako dyrektor, dla każdego teatru przedstawiać musi poważne niebezpieczeństwo. Artysta kocha najmocniej ten dział sztuki, w którym celuje. Choćby całą siłą woli przeciwdziałał temu, będzie zawsze faworyzował to, co mu jest najbliższe, najlepiej odpowiada jego zdolnościom i temperamentowi.

Niema w tem nic dziwnego. Zjawisko całkiem zrozumiałe. Dlatego też zgóry można przewidywać, że znakomity aktor operetkowy najlepiej operetkę prowadzić będzie.

I tak też było z p. Lelewiczem w Poznaniu.

Postawił on doskonale operetkę, niezłe operę, a dramat — miernie. Sprawiedliwość przyznać każe, iż — mimo to — p. Lelewicz okazywał chęć jak najlepsze, dużo nawet idealizmu (o którym wspomina cytata z artykułu p. Seydy, przytoczona w liście p. L. do „Kur. Lit.“); od czasu do czasu wystawiał z nadzwyczajnym pietyzmem arcydzieła literatury dramatycznej. Były to jednak tylko odosobnione porwy sumienia artystycznego i dobrych chęci. Wszelako naogół dramat w Poznaniu stał z czasów p. Lelewicza na ostatnim planie. Co do tego niema tam dwu zdań.

Wracając do owego wspomnianego „idealizmu“, to nadmienić tu trzeba, że słowa p. Seydy najwyraźniej stanowią apostrofę w kierunku poprzednika p. Lelewicza, który, pod koniec swej gospodariki, prowadził ją w sposób rabunkowy. W porównaniu z nim p. Lelewicz tembardziej zyskiwał, że w kierunku sztuki poważnej mniej zapowiadał. A

wreszcie jeszcze jedno. W „Kurjerze Poznańskim“ jest dwu krytyków: red. Marjan Seyda zdaje sprawę z utworów muzycznych (tak lekkich, jak poważnych), a p. Bolesław Marchlewski — z komedji i dramatu. Otóż powoływanie się p. Lelewicza jedynie na świadectwa krytyka muzycznego potwierdza tylko fakt, że za dyrekcji p. Lelewicza w teatrze poznańskim na pierwszy plan wysunęła się opera i operetka.

Teraz kwestja druga.

Czy istotnie Zarząd Tow. Popierania Sceny, zamierza dać nam zimą dramat, komedję, operę i operetkę?

Jeżeli tak, to godzi się zapytać, czy ci panowie wiedzą, jakiego wymaga zasiłku uprawianie w sposób znośny tych wszystkich działów?

Zdobył się na to Poznań. Ale subsydjum wynosi tam 30,000 marek, pozatem dyrekcja otrzymuje bezpłatnie gmach, rekwizyty, dekoracji, część garderoby, bibliotekę i wiele rzeczy innych. Trzeba przytem dodać, że subsydjum to jest jeszcze bardzo skromne, o ile chce się mieć operę względnie bodaj dobrą. Jeśli Wilno nie zdobędzie się na podobny zasiłek, to jakie tego będą konsekwencje?

Oto przedsiębiorca ujrzy się w konieczności zaniedbywać operę na rzecz znacznie popłatniejszej operetki, co w danym wypadku (t. j. jeśli p. Lelewicz będzie owym przedsiębiorcą) wypadnie w duchu jego bezwiednej, żywiołowej skłonności. Jeszcze raz podkreślam, że tylko dzięki przyzwolonej subwencji mógł mieć Poznań za rządów p. Lelewicza, obok doskonałej operetki, niezłą operę. Jeżeli Wilno na podobną subwencję się nie zdobędzie, może mieć operę marną przy operetce (dzięki talentowi p. Lelewicza) również doskonałej.

W najlepszym więc razie możemy mieć to, co było w Poznaniu: operetkę (na pierwszym miejscu), operę i dramat — na ostatniem.

Czy istotnie taki teatr właśnie Wilno jest potrzebny?

Zdaje mi się, że nie. Byłoby to zejście z dotychczasowej drogi, w zasadzie dobrej; byłoby to zmarnowaniem w dużej części tego, co zdołano już zrobić przez wciągnięcie mas szerokich do teatru polskiego *słowa*.

Dla Wilna w danym wypadku wzór najwłaściwszy stanowi Kraków: powinno ono utrzymywać przez zimę dramat, a na lato sprowadzać możliwie dobrą operę i operetkę.

Dziś w całym świecie istnieje tendencja, by teatry, mające spełniać zadania kulturalne, powierzone były kierownictwu nie aktorów, lecz literatów. Przekonano się bowiem, że najlepiej wywiązują się z obowiązków dyrektorskich ludzie, którzy osobiście nie ukazują się na scenie; nie zaprzatają sobie głowy poszczególnymi rolami, lecz poświęcają wyłącznie czas i siły repertuarowi tudzież całości wykonania. Z tego względu w teatrach niemieckich np. istnieje obecnie zwyczaj, że jeżeli nawet kierownik jest aktorem, to mu występować nie wolno. Większość scen francuskich prowadzą wytrawni, zasłużeni krytycy, znawcy literatury scenicznej.

W takich czasach oddawać scenę wileńską — scenę, mającą w naszych stosunkach cel główny: kultywowanie *słowa*, specjaliście operetkowemu — nie, to chyba jakieś nieporozumienie.

rc.

▷○○○○○○○○○◁

przedzgonnym do przyjaciela dziękował im serdecznie za mężne wstawiennictwo.

Tak więc w procesie Husa polacy, jakby dla zadokumentowania wobec świata swego bujnego indywidualizmu, stanęli na dwóch przeciwnych biegunach; sześciu prawych synów Polski z Zawiszą Czarnym i biskupem Kurdwanowskim na czele staje w tej pamiętnej dziejowej tragedji pod jasnym sztandarem ducha światłości Ormuzda; jeden, nieznago nam nazwiska nikczemnik, dostarcza potajemnie soborowi rękopisu, w zaufaniu najwyższem przez Husa mu powierzonych, stając się narzędziem Arymana, ducha ciemnoty i zła.

St. Poraj.

▷○○○○○○○○◁

Pierwszy maja.

Bardzo ciekawy artykuł na temat 1 maja zamieścił „Przeгляд Codzienny”. Pozwalamy sobie przedrukować go, niejako w odpowiedzi na zgola niekompetentne kazanie naszej „dwugroszówki”, która przy każdej podobnej sposobności wypowiada walkę wiatrakom.

W roku obecnym prawie wszędzie dzień pierwszego maja przeszedł bez zaburzeń. Zarówno w krajach gdzie swoboda manifestowania jest większa, jak i tam, gdzie władza wykonawcza żywi neufność do wystąpień masowych — „porządek nie został zakłócony”. Stracił wprawdzie dzień 1-go maja swój charakter szermierki społecznej, ale zatrzymał charakter manifestacyjny, swą ideję protestu. Jest to tembardziej znaczące, że właśnie tegoroczny pierwszy maj nikogo nie niepokoił. Nie myślano o nim zbyt; nie robiono wysiłków i przygotowań, by mu zapobiec, lub, by się zabezpieczyć przeciw niemu. Uwaga państw i ludów jest obecnie zaabsorbowana sprawą bałkańską, możliwością wojny, zbrojeniami i podatkiem krwi, który ciąży zarówno na wszystkich warstwach ludności. Co wobec tych wszystkich ewentualności i trosk może znaczyć strajk jednodniowy, jakim ma być, według przepisów bojowych walki klasowej, dzień pierwszy maja.

I właśnie dlatego, że tegoroczny pierwszy maj był mniej rzućciem rękawicy do walki, jak manifestacją pewnej idei, czas jest zająć się kwestją, czem istotnie może i powinien być dzień pierwszego maja.

Piszący te słowa był obecny na posiedzeniu kongresu robotniczego, który w 1889 roku powziął był w Paryżu uchwałę święcenia pierwszego maja. Było to w sali dosyć nędznej, bo Paryż nie posiada wielu pięknych sal na zgromadzenia publiczne. Na ulicy słońce zachodziło, ale w sali zmrok już był zupełny. Na scenie, na której zasiadało biuro oraz honoratiory (szanowane powagi) kongresu i kilka kobiet, które lgną do „popularnych”, jeśli nie lubią epoletów, słowem na „biurze” zapalono kilka świec. Leniwym, powłóczyстым krokiem wszedł na tę scenę delegat z Ameryki, rzućając kawał tytoniu, który wyjmował z ust, gdy przechodził w patos, jak gdyby obawiał się zgubić swą „czekoladkę”, i wkładał napowrót do ust, gdy przechodził do argumentacji i do „faktów”, t. j. do cyfr.

Wreszcie mówca spokojnym głosem poprosił przewodniczącego, panie i dżentelmenów obecnych o pozwolenie przedstawienia rezolucji, nadesłanej

za jego pośrednictwem przez „braci z za Atlantyku”... Tu mówca wyjął na dobre swą „czekoladkę” i zaproponował uchwałę wszechświatowego święcenia pierwszego maja.

Uderzyła piszącego już wtedy olbrzymia różnica nastroju wnioskodawcy w porównaniu z nastrojem obecnych na sali delegatów europejskich. Amerykanin mówił spokojnie, metafizycznie — że się tak wyrazimy; z oczami w dal utkwionymi myślał on, jak można było się domyśleć, o spokojnym symbolu pokoju i święceniu wszechświatowego Sabatu. Inaczej wniosek ten przyjmowali delegaci, obecni na sali. Z zaiskrzonym wzrokiem podnosili ręce do góry, myśląc o walce, jak gdyby niebios na świadków brać chcieli, iż rzućają wyzwanie...

Tak przeszła uchwała o dniu pierwszego maja. Wnioskodawca mówił o „święcie pracy”, o święcie pogańskim, licząc się nie z wierzeniami, ale ze stosunkiem człowieka do przyrody. Ci zaś, którzy ręce do góry podnosili, myśleli o walce, o „strajku” — jednodniowym wprawdzie, ale wszechświatowym.

Piszący różnicę tę w nastrojach konstatował, ale jej znaczenia wewnętrznego nie rozumiał. Dopiero po wielu latach, gdy po dłuższym pobycie w Anglii znów znalazł się na bruku paryskim, to w pewną niedzielę — a było to przed wprowadzeniem prawa o odpoczynku niedzielnym we Francji — przypomniał sobie ów dzień pamiętny z 1889 r., kiedy przyjęto uchwałę o dniu pierwszego maja.

Gdy w gwarnem mieście, obok bawiącej się i używającej klasy średniej widać było na każdym kroku masy ludowe, jak roje niewolników, pracujące przy budowie domów, przy kopaniu tuneli i t. d., mimowoli rodziło się zapytanie, dlaczego niema wspólnego dla wszystkich dnia odpoczynku?

I w pamięci odżywały piękne bardzo słowa Proudhona, który „święcenie niedzieli” rozpatruje nie jako chęć korzenia się przed Stwórcą, ale jako przyrównanie się do Stwórcy, który po pracy zastanawia się nad dziełem własnym i w refleksji wraca na łono przyrody — odpoczywając.

Można rozpatrywać święcenie Sabatu, jako nakaz religijny. Można także, jak w Anglii, tworzyć drogą ustawy tak zwane „święta bankowe” *) jako nakaz higieny publicznej, dbałej o należyty dla organizmu ludzkiego odpoczynek fizyczny, ale można i trzeba także konieczność odpoczynku po pracy rozpatrywać, jako nakaz moralno-społeczny, który narody i społeczności zróżniczkowane według zajęć, który ludzi, i ludy, zwalczające się w konkurencji i w pościgu za kawałkiem chleba, zniewała, pamiętać także o tem, że są jednością ludzką, która solidarnie stoi wobec natury.

Amerykanin, któregośmy wyżej przedstawili jako delegata „braci z za Atlantyku”, stawiając wniosek święcenia pierwszego maja, musiał myśleć podobnie, jak Proudhon. Być może, że jako członek anglo-saksońskiej rodziny doszedł do swego wniosku, pobudzony trochę purytanizmem protestanckim, ale na tyle szerokim i tolerancyjnym, że daje możność zbliżenia się i tym, którzy tylko świecką moralnością żyją. Jemu mniej szło o walkę, o rzućcie rękawicy, o święto „klasowe”, jako dzień wielki dla całej ludzkości. I w jego wniosku

*) W Anglii na wniosek prof. Lubbocka, wielkiego uczonego i z zawodu bankiera (mianowanego później lordem Aveburyem) uchwalono kilka „poniedziałków” uważać, jako „święta bankowe”. Cel ustawy był ten, by dając z rządu 2 dni świąt zadostyczyć wymogom higieny publicznej.

dzień 1 maja miał zostać świętem pracy, która od-
poczywa, która siedząc na tronie tworzenia, chce
wniknąć w samą siebie i uczuć się zespoloną w
myśli ludzkością.

Nie stało się tak, jak tego amerykańcin chciał.
Do dziś dnia dzień pierwszy maja został dniem walki,
dniem wyzwania, dniem zbrojenia się obozów.

Kto temu najwięcej winien? Ci którzy sta-
wiają swe veto, którzy nie znoszą myśli o ogólno-
ludzkim dniu odpoczynku, o symbolu jedności i
braterstwa.

A właśnie dziś wobec zbrojeń, wobec histe-
rycznych zachcianek aneksji, wobec tak łatwo rzu-
canej groźby wojny, co za ukojenie przyniosłby
dzień pierwszego maja, jako dzień święta wszech-
ludzkiego...

Czy nie dobrze byłoby pomyśleć o tym, że
dzień 1 maja powinien zostać prawnym świętem
pracy? Czy nie czas, by rządy i parlamenty, któ-
re uznają kongresy międzynarodowe, zgodziły się
na to, by dzień 1 maja został świętem wszech-
ludzkim?

Być może, że takiemu pojmowaniu dnia 1
maja najwięcej będą przeciwni ci, którzy, właśnie
na gruncie „klasowości“ stojąc, w myśli o święcie
pracy widzą nie symbol jedności, a przystrojenie
w kwiaty gladjatora walczącego.

Naszym zdaniem, jest to pogląd mylny. Czu-
purne, ale odosobnione stanowisko mas pracują-
cych na wzgórzu awentyńskim jeszcze nie dowo-
dzi siły. Trzeba zejść ze wzgórza do Rzymu, by tu
znaleźć silny grunt i to bez potrzeby sypania oko-
pów około stanowiska zajętego. W ramach pań-
stwa społecznego, ale w ramach rozszerzonych,
masy ludowe muszą żyć, a ich zwycięstwo na tem
właśnie polega, że te ramy ustępują, rozszerzają
się, by zrobić im miejsce.

Więc jesteśmy za świętem pierwszego maja,
za prawem o święcie pracy w dzień pierwszego
maja.

▷○○○○○○○○◁

PRASA POLSKA.

W „Kurjerze“ lubelskim p. L. Chrzanowski
zadaje pytanie, gdzie właściwie są polacy — i oto,
co pisze:

„Dość często pisma obrazkowe podają swoim czy-
telnikom do rozwiązania zagadki, polegające na tem, iż
główna figura, przedstawiona na rysunku, nie posiada
głowy, nogi, lub innej części ciała; zagadka polega na
tem, aby starannie ukrytą głowę odnaleźć wśród róż-
nych innych przedmiotów, przedstawionych na rysunku.

Za podobną zagadkę może służyć zapytanie: „gdzie
są polacy“, w rozpatrywaniu tego zapytania na tle po-
lemik polskiej.

Wziąwszy bowiem do ręki pisma, należące do kie-
runku narodowo-demokratycznego, przeczytamy w nich,
że: „warcholące żywioły radykalne zohydzaają sztandar
narodowy polski, że za pieniądze niemieckie i żydow-
skie propagują ideję walki klasowej, szerzą strajki i wy-
sługując się Niemcom i Żydom, nie są godne imienia
polskiego“.

Przeglądając w dalszym ciągu pisma klerykalne
w rodzaju „Polaka-Katolika“ itp., dowiemy się, że „zwo-
lennicy kierunku n. d. zbyt mało się liczą z wolą praw-
dziwych Polaków katolików, by można ich polityce ufać
w zupełności i że dopóki nie nastąpi zupełne podporząd-
kowanie się tego stronnictwa woli kościoła, dopóty nie
może ono zasługiwać na uznanie i zupełne poparcie“.

Badając głębiej wspomnianą zagadkę, dowiemy się
z „Myśli Niepodległej“, że: „nasz obóz klerykalny nie
poraz pierwszy stanął w poprzek naszych dążeń naro-
dowych“, że „antyspołeczne, niepolskie stanowisko kle-

ru doprowadziło do tego, iż sutannę musimy uważać
jako synonim ciemnoty i ucisku“.

A dalej pisma „polityki realnej“ zarzuca stron-
nictwom postępowym, że są zapatrzone na rosyjskich
kadetów, niezdolne do stworzenia własnego narodowego
programu. Wzamięniamy za to usłyszą, że stronnictwo polity-
ki realnej, trzymając się klamki ministerjalnej, zatra-
ciło i zatracą dumę i godność narodową tak samo, jak
stronnictwa lewicy, „wlokące się w ognie rewolucjoni-
stów rosyjskich, a przesiąknięte doktrynerswem zachod-
niego socjalizmu, nie umiały się dostosować do warun-
ków naszego życia i nie z naszymi narodowymi żąda-
niami wspólnego nie posiadają“.

A wówczas ze strony lewicy rozlegnie się głos,
wyliczający wszystkie błędy, nielogiczności programowe
partji postępowych, wołający słowami Młodej z „Kłatwy“,
Wyspiańskiego: „precz niemrawce“!

I tak wyklinamy się bez końca, a zagadka pozos-
taje nierozstrzygnięta; nie odnaleźliśmy „głowy“ — po-
laków nigdzie niema, wszyscy się wzajem od tego mian-
na odsadzili i zakwestjonowali prawo używania go przez
swoich przeciwników przekonaniowych.

Jest to smutny rezultat prowadzenia polemik za
pomocą pomiarów antropometrycznych autorów, miast
badania treści ich artykułów; jest to rezultat badania,
ile „polskości“ mieści się w umyśle i krwi autora, jest
to rezultat dzielenia narodu na prawdziwych Polaków,
na pół i ćwierć Polaków, miast słusznego i uczciwego
nazywania rzeczy po imieniu i rozpatrywania wszyst-
kich publicystów dobrej woli, jako dobrych synów oj-
czyzny, hołdujących tylko różnym ideałom społecznym.

Trzeba nareszcie odrzucić do rupieciarni demago-
gicznych przeżytków, to odsadzenie od „polskości“ opo-
nentów i przeciwników politycznych: najskrajniejszy
prawicowiec i najskrajniejszy lewicowiec w uczuciu
i poczuciu swoim mogą być równie dobrymi Polakami—
czyje zaś metody rozwiązywania zagadnień społecznych,
czyje metody walki będą słusniejsze i lepsze dla „pol-
skości“, to życie samo pokaże. Spierajmy się o te meto-
dy, a nie o polskość osobistości. nazywając rzeczy po
imieniu: konserwyzm—konserwyzmem, nacjonalizm—
nacjonalizmem, nie kwestjonując niczyjej polskości.

Jeśli różnorodność wyznań nie przeszkadzała na-
szej szlachcie kresowej walczyć ramię przy ramieniu
z hordami tatarów; jeśli wówczas szlachta ruska, litew-
ska i sandomierska lub mazurska mogły wspólnie wal-
czyć, nie badając, czy różnica wyznania wpływa na
większą lub mniejszą polskość, to i dzisiaj, sądzę, nie
jest zadaniem publicystów polskich „wybadywanie“ tej
polskości—lecz zwalczanie lub bronienie pewnych hasel
i przekonań.

Walka demokracji z konserwyzmem jest odwie-
czna — należy tylko do niej stosować coraz kultural-
niejsze metody.“

Uwagi całkiem słuszne i wielce na czasie.

— Skoszlawienie przez Radę Państwa projek-
towanego samorządu miejskiego w Królestwie wino-
no—zdaniem „Humanisty Polskiego“—wplynąć na
zanik legendy, jakoby społeczeństwo rosyjskie było
dla nas usposobione przyjaźniej, niż biurokracja.

„Wytwarzając pewne sofizmaty polityczne w oce-
nie wierności przedstawicielstwa parlamentarnego, za
wiele się odlicza na rachunek, wpływów i przymusu
władzy. Żadne ciało prawodawcze nie odzwierciadla
ściśle swego społeczeństwa, ale też żadne nie jest jego
przeciwieństwem. Cokolwiek pisano o sztuczności wy-
borów do obu Izb w Rosji, wyrażają one jej umyślo-
wość, jej nastrój, jej dążności, stanowią jej miniatyrę.
Przez nie więc wypowiedział się naród rosyjski. Naród
ten uznał, że należało odciąć od Królestwa Polskiego
kawał ziemi i wcielić go do Cesarstwa. On również —
i to daleko wyraźniej, bo wbrew woli naczelnej, oświad-
czył się przeciwko nadaniu nam samorządu miejskiego
w formie, zachowującej najdrobniejsze ślady instytucji
samoistnej i krajowej. Niepodobna posadzić Stołypina
i innych twórców projektu rządowego o jakiegokolwiek
sympatje dla Polaków, przeciwnie raczej należy stwier-
dzić ich wyraźną niechęć i usiłowanie zawarowania dla
urzędów w Królestwie stałej przewagi biurokratyzmu
centralistycznego nad działalnością żywiołów miejsco-
wych. Mimo to, nawet ci wierni stróże „silnej ręki“
i „rękawie jeżowych“ nie dokręcili jeszcze szruby ucis-
kowej do tego punktu, którego wymagała większość
Rady państwa. Jej mowy i głosowania były tak bez-
względne i bezceremonialne, tak nie liczyły się z dal-

szemi następstwami, z wrażliwością skrzywdzonego społeczeństwa i sądem kulturalnych świadków tego widowiska, że chyba w Europie jeden tylko sejm pruski odważyłby się na podobne urąganie najelementarniejszym zasadom sprawiedliwości. I jak gdyby dla lepszego uwydatnienia jaskrawizny tego dekretu znalazł się on w szczególnych ramach czasu, kiedy ci sami „słowianie“, którzy nie pozwolili polakom nawet przemawiać w radach miejskich własnym językiem, urządzali jednocześnie krzykliwe manifestacje na rzecz pobratymców bałkańskich i domagali się samodzielności dla narodów, niedorównywających nam kulturą z przed 200 lat, a liczbą -- przedmieściu Warszawy. Zapal tych apostołów „bractwa“ plemiennego był tak gorący i wybuchliwy, że aż policja musiała go gasić.

Gazety twierdzą, że szale obrad przeciwko nam przeważyli pp. Stisziński i Hurko. Nie wierzymy temu: nawet bez ich wystąpienia opadłaby ona w tym samym kierunku. Ale nie przestaje być bardzo znaczącym wypadkiem, że opinia Izby wyższej rosyjskiej znalazła się w obrębie ideologii politycznej najgłupszego z biurokratów i najzrykowniejszego z karjerowiczów. Jest to zarazem może najsmutniejszy objaw uwiadu w organizmie Rosji. Nie dość powiedzieć, że tam rej wodzą pravicowcy lub nacjonalisci, bo i w tym rodzaju mogą się znaleźć jednostki dużej miary; trzeba dodać, że są ludzie niechęący, czy niemogący przekroczyć myślą dnia dzisiejszego, krótkowzroczni, ślepi lub tak omroczeni samolubstwem, że nie widzą ogromnych szkód, jakie wyrządzają własnej ojczyźnie, powstrzymując jej rozwój i utrwalając jej rozstrój. Ci ludzie mniemają, że najlepszą polityką jest sianie zamętu i mnożenie wrogów. Zdaje im się, że im wyższy rekord ucisku i nieprzyjaźni ustanowi ich naród, tem będzie bezpieczniejszy, a im więcej okaże i dozna nienawiści tem będzie szczęśliwszy.

Uchwała Rady państwa wycisnęła obok Chełmszczyzny drugie trwałe piętno na stosunkach polsko-rosyjskich. „Sadzę—rzekł poseł I. Szebeko—że nie leży w interesie Rosji, zwłaszcza w obecnej dobie, stwarzanie takich warunków życia etnograficznie polskiej narodowości, które zmusiłyby ją do rozstania się z myślą, że lepsza jej przyszłość winna być zawsze związana z Cesarstwem rosyjskiem“. Nie wiemy, jaki procent wśród naszego narodu jest ludzi, którzy wyznawali tę wiarę: w każdym razie należał do nich p. Szebeko. Jeżeli więc ona została podważona w nim i innych wytrwałych duszach, to przekonywa o sile ciosu, zadanego polskości przez Radę państwa i o zupełnym zgaśnięciu ogników złudnej nadziei, tak starannie pielęgnowanych przez realno-ugodowych utopistów“.

Mimo wszystko, sądzymy, że ani obecna Duma, ani Rada Państwa nie są przedstawicielkami opinii społeczeństwa rosyjskiego. Wiemy, że niemniej wrogo, niż do „inorodców“, odnoszą się one do pewnych klas własnego narodu. Możemy tylko stwierdzić, że naród ten w obecnym stadium swej kultury nie umie zdobyć się na reprezentację rzeczywistą. Ta więc, która istnieje, reprezentuje stopień jego świadomości. A świadomość ta właśnie w stosunku do kwestji polskiej mętna jest, chaotyczna i skłonna podlegać ideologii biurokratów, z których wszakże składa się prawica Rady Państwa.

□□□□□□□□

Głosy rosyjskie.

Wobec wzrastania emigracji.

P. Mienszikow, zamieścił w „Nowem Wremi“ szereg artykułów, poświęconych kwestji ciągłego wzrastania emigracji z Rosji. Z powodu tych artykułów „Riecz“ zamieściła kilka ciekawych uwag w tej samej kwestji.

„Według ostatniego sprawozdania generalnego komisarza emigracji Stanów Zjednoczonych, w ciągu roku ubiegłego przybyło do Ameryki z państwa rosyjskiego około 65,000 żydów, prze-

szło 40,000 polaków, przeszło 16,000 litwinów, około 9,000 Niemców.

Z państwowego punktu widzenia fakty te są dość znamienne. Jeżeli setki tysięcy ludzi urodzonych w Rosji, związanych z nią tysiącami interesów i węzłów, rzucają ziemię rodzinną i podążają w obce strony po wolność i szczęście, świadczy to o zupełnie nienormalnym stanie organizmu państwowego, nie posiadającego dostatecznej żywotności i zdolności do ogarnięcia wszystkich różnorodnych żywiołów, w skład jego wchodzących. Emigracja obcoziemców jednak jest oryginalnie traktowana i wobec tryumfu w polityce praktycznej tego nacjonalizmu, którego cała treść sprowadza się do walki z „zalewem obcoziemnym“, do ograniczeń i represji przeciwko obcoziemcom, ucieczka z Rosji setek i dziesiątków tysięcy potrzebnych i pożytecznych dla kraju obywateli przyjmowana jest nietylko obojętnie, lecz nawet z aprobatą. Jakkolwiek przez „radykałów“ współczesnego nacjonalizmu masowe wygnanie niedoświadczonych plemion i narodów uznawane jest nieomal za ideał mądrości państwowej, to jednak samo się przez się rozumie, że wysiedlenie polaków, żydów i finnów nie może być uważane za fakt pocieszający, za dowód tego, że kurs nacjonalistyczny daje požądane rezultaty.

Jest tylko logicznem i, oczywiście, nie przypadkowym następstwem obecnej polityki ta okoliczność, że pierwsze miejsce pod względem liczebności emigrantów zajmują te narodowości, nad którymi są dokonywane najsmielsze eksperymenty współczesnego nacjonalizmu. Im więcej wyjeżdża z Rosji żydów, polaków i finlandczyków, tem lepiej dla wielkiej Rosji, dla jej rdzennej ludności—takie jest usprawiedliwienie tej obcoziemiennej emigracji...“

Polemika w sprawie „mordu rytualnego“.

W tych dniach w Berlinie wydane zostało dzieło, zawierające opinie profesorów angielskich, niemieckich i francuskich, znawców medycyny sądowej, w sprawie zabójstwa Juszczyńskiego. Profesorowie ci krytykują bardzo ostro orzeczenie eksperta, prof. Sikorskija, dowodząc, na podstawie materiałów śledczych i protokołów ekspertyzy, niesłuszności zdania prof. Sikorskija co do nadwyzwyczajnej ilości krwi, która upłynęła z zabitego oraz niezwykle jakoby charakteru samego zabójstwa. Uczeń europejscy, nie wchodząc wcale w rozpatrzenie sprawy *in merito*, wypowiedzieli jedynie sąd swój o samej ekspertyzie, zdaniem ich, stronnej a nie obiektywnej.

Urzędową „Rossiję“ wytrąciło wystąpienie to najpoważniejszych uczonych europejskich z równowagi. Pisze też ona:

„Jeszcze niewiele, a doczekamy się od profesorów angielskich, francuskich i niemieckich oświadczenia iż sam Juszczyński nigdy nie istniał, co z pewnością jest im wiadome. Czy wiadomo im jednak, że autorytet ich przyciągnięto do sprawy jedynie w celu wywarcia możliwej presji na sąd, który jest kompetentny i potrafi orjentować się w sprawach bez porównania bardziej zawiłych niż zabójstwo kijowskie? Należy przypuszczać, iż profesorowie zagraniczni nie zdają sobie sprawy z tego, bo wszak z zasady muszą uszanować i poważać niezależność zdania sądu i chyba rozumieją iż agitacja dokoła rozpraw sądowych nie wykrywa prawdy a zaciemnia ją“.

W odpowiedzi na te uwagi „Rossiji“ kadecka „Riecz“ zapytuje, czy urzędówka rzeczywiście nie zdaje sobie sprawy z jasnych zupełnie rzeczy. Czy „Rossija“ nie pojmuje tego:

„iż orzeczenia sądowo-lekarskie oparte są na faktach, wniesionych do protokołów sekcji; iż o ile istnieje materiał faktyczny, t. j. odpowiednie protokoły i akta procedury śledczej, to wnioski naukowe z niego mogą być wyciągnięte z jednakową pewnością wszędzie, gdzie znajdują się przedstawiciele nauki, posiadający metody, środki i sumę nagromadzonego doświadczenia. Czyż „Rossija“ nie rozumie, że uczeni europejscy, gdziekolwiek mieszkają—czy w Londynie, czy w Berlinie, czy w Paryżu, o ile idzie o opinię na podstawie aktów i protokołów sekcji, znajdują się w tem samym położeniu, co i eksperci kijowscy?“

To wszystko wiedzą doskonale publicyści z Rosji“. Niemniej p. Gurland z kolegami potrafią czasem nie pojmować najprostszyc rzeczy.

Potrafią oni udawać szlachetne oburzenie nawet wtedy, gdy przeciw nim występują największe powagi Europy.

oooooooooooo

NA WIDNOKRĘGU.

Upór Mikołaja Czarnogórskiego, który nietylko ze Skutari ustąpić nie chciał, ale postanowił nawet następcy swemu urządzić w niem rezydencję; z drugiej zaś strony kunktatorstwo biesiadujących w Londynie ambasadorów—skłoniło wreszcie Austro-Węgry do uczynienia stanowczego kroku.

— Dość tych żartów—rzekła dyplomacja wiedeńska i obwieściła światu, że do spółki z Włochami (na które niedawno jeszcze tak bardzo liczyli nacjonałiści i panslawiści petersburscy) zapowiada okupację... Albanji.

Czarnogórze zgrzeszyło, a zajęta ma być Albanja. Jest to zwykła logika dyplomacji, która rozumie, że w polityce miema ani grzechów, ani cnót, lecz tylko interes i siła. O winach i zasługach mówi się gawiedzi, małuczkim, których nigdy nie należy gorszyć. Więc wymyśla się grzechy, by je karać; rzadziej—zasługi, kwalifikujące się do nagród.

Wiedeń póty bolał nad losem Albanji, póty bronił jej samodzielności, dopóki krajowi temu mógł grozić najazd sprzymierzonych bałkańczyków. Gdy niebezpieczeństwo minęło, a natomiast zjawiała się okazja sięgnięcia samemu po tę resztkę tureckiej sukcesji, dyplomacja austriacka wnet wyciągnęła rękę.

Na razie mówi się, że chodzi tylko o uporządkowanie stosunków albańskich, o przeciwdziałanie anarchji. Włosi mają porządkować południe, austriacy północ. Przy okazji wyproszą ze Skutari czarnogórców, ale to sprawa podrzędna. Za sprzymierzeńcami tymi stoi cicho przyjaciel berliński i baczy, by im kto na pięty nie nadeptał.

A chętnych po temu jest dosyć i jeszcze nie wiadomo, czy któremu z nich nie zbraknie cierpliwości.

Jeżeli cała ta historia ze zdobyciem Skodaru przez króla Nikitę nie była zgóry uplanowana w gabinetach trójporozumienia; jeżeli dalsze konsekwencje obecnej sytuacji nie są już przewidziane,

to władca czarnogórski niechcący spletał figla własnym swoim protektorem.

Teraz wszakże gotów on jest Skutari opuścić, rzeka się nawet wszelkich kompensat.

Na wszelki wypadek wyreżyserowano protest gabinetu, który podał się do dymisji. Ma to pozorować patryjotyczną i nieprzejednaną „wolę ludu, nie godzącego się na perzucenie zdobyczy.

To trochę krzyżuje plan sprzymierzeńców.

Austrja i Włochy występują zatem nie tyle przeciw Nikicie (Włochy nawet głośno to reklamują), ile przeciw Essadowi-paszy, którego pieczy nie chcą powierzyć samodzielności Albanji. Widać obawiają się, że samodzielność ta nie przez trójprzymierze trzymana będzie w cuglach.

W każdym razie występ austriacko-włoski zdaje się być początkiem gry międzymocarstwowej o pozostałości sukcesji tureckiej i o zawarowanie korzyści poszczególnym członkom „koncertu“ wobec zmienionych warunków.

Dlatego też sytuacja stała się znowu poważniejszą, a widmo wojny łeb wychyla. Austrja sposobi się już; chce być gotowa na wszelki wypadek. Na południu zarządzono stany wyjątkowe, a w Galicji—stan obłężenia.

Jedno jest pewne, że wypadki w Albanji, o ile Austrja i Włochy wkroczą na jej ziemie, muszą mieć skutki poważne nietylko w Europie, ale i w Azji, gdzie byt Turcji bynajmniej zapewnionym nie jest. A i wieczna kwestja Konstantynopola musi stanąć na porządku dziennym.

Do porachunków zgóry otwarto sobie drogę czwartkową uchwałą konferencji ambasadorów. Na posiedzeniu tem odrzucono propozycję Ligi Bałkańskiej, by kwestję granic Albanji rozpatrzyć raz jeszcze, przy rokowaniach pokojowych, wspólnie z przedstawicielami państw bałkańskich.

Nie tylko sprawa granic Albanji, ale także sprawa wysp Egejskich i sprawa odszkodowania wojennego pozostawiona została wyłącznie do uznania sześciu wielkich mocarstw.

Mogą stąd wyniknąć nowe komplikacje, a nawet nieporozumienia pomiędzy sprzymierzeńcami bałkańskimi, bo przewidywana jest krzywda Serbji i Grecji na rzecz Bułgarji i Czarnogórze.

oooooooooooo

Nowa organizacja rewolucyjna.

Petersburska Agencja Telegraficzna rozesała komunikat urzędowy departamentu policji, który brzmi, jak następuje:

„W ostatnich dniach w szeregu dzienników zjawiły się wiadomości o dokonanych w Petersburgu aresztowaniach wśród wychowawców różnych szkół; z większości notatek widać dążenie postawienia tych aresztów w związku z aresztowaniem uczestników zebrania organizacji ogólnouczniowskiej, które odbywało się dnia 22-go grudnia 1912 roku w Petersburgu w gimnazjum prywatnem Witmerowej. W rzeczywistości jednak rewizje i aresztowania, dokonane w pierwszych dniach kwietnia r. b., oparte były na danych następujących: W kwietniu 1912 r. w Petersburgu, wykryto proklamacje nieznaney dotychczas organizacji rewolucyjnej, która nadała sobie nazwę „Organizacyjnej grupy Związku rewolucyjnego“, i postawiła sobie za zadanie zburzenie istniejącego ustroju politycznego. Dnia 28-go maja r. z. niektórzy z jej uczestników byli

aresztowani i pociągnięci do śledztwa przez gubernjalny rządzi żandarmerji w Petersburgu. Jednakże i po tym fakcie wspomniany Związek rewolucyjny istniał w dalszym ciągu i w lutym r. b. wydał odezwy występne, które oprócz bezpośredniej obrazy pod adresem Świętej Osoby Najjaśniejszego Pana i zuchwałego nieposzanowania Władzy Zwierzchniczej, zawierały wezwanie do zburzenia rządu Cesarskiego i utworzenia republiki demokratycznej. Wkrótce potem do wiadomości policji doszło, że grupa petersburska Związku rewolucyjnego podjęła się przeprowadzenia w Petersburgu strejku robotników w fabrykach, zakładach przemysłowych, oraz urzędzenia demonstracji ulicznej d. 16 kwietnia r. b., przyczem w tym celu, wraz z innymi organizacjami politycznymi, zredagowała i wydała odezwę występną. Dane te zmusiły wydział „ochrony“ do dokonania aresztowań, ustalonych już do tego czasu członków Związku rewolucyjnego, wśród których okazało się tylko dwu uczestników zebrania, odbytego d. 22-go grudnia 1912 roku, w gimnazjum prywatnym Witmerowej.

Wszystkich, po odkryciu pomienionem, aresztowano 31 osób i zrewidowano 40. U wielu z aresztowanych, po wykryciu Związku rewolucyjnego, znaleziono odezwy występne i inne dokumenty, dowodzące ich działalności rewolucyjnej. Całą korespondencję w sprawie ostatnich aresztowań członków Związku rewolucyjnego odesłał już petersburski oddział „ochrony“ do gubernjalnego urzędu żandarmerji, w którym wszczęto dochodzenie formalne z art. 1.035 kodeksu karnego według kwalifikacji przestępstwa, przewidzianego w artykule 102 kodeksu karnego.

▷○○○○○○○○◁

KRONIKA.

— Nagrody Akademii Umiejętności.

Akademia umiejętności na posiedzeniu administracyjnym przyznała następujące nagrody:

Nagrodę z fundacji Probasa Barczewskiego za dzieło historyczne w kwocie 2160 kor. przyznano dr. Juljuszowi Kleinerowi we Lwowie za dwutomowe dzieło p. t.: „Zygmunt Krasieński Dzieje Myśli“.

Taką samą nagrodę w kwocie 2160 kor. za dzieło malarzkie przyznano profesorowi Wojciechowi Weissowi w Krakowie za obraz p. t. „Owoce“.

Nagrody z funduszu Włodzimierza Spasowicza przyznano: 1) prof. Kazimierzowi Morawskiemu w Krakowie w kwocie 2000 kor. za dzieło p. t. „Historja literatury rzymskiej za Rzeczypospolitą“ tomów trzy, i 2) P. Władysławowi Biegańskiemu w Częstochowie w kwocie 1000 kor. za dzieło p. t. „Teorja logiki“.

Nagrodę z fundacji ks. Jerzego Romana z Rozwadowa i Adama z Miżynia Lubomirskich przyznano: 1) prof. Napoleonowi Cybulskiemu w Krakowie w kwocie 3000 kor. za rozprawę p. t. „Prądy elektryczne w mięśniach nieuszkodzonych i uszkodzonych oraz ich źródło“ tudzież „Prądy elektryczne w mięśniach czynnych, ich charakter, i źródło“ i 2) prof. Karolowi Olszewskiemu w Krakowie, także w kwocie 3 tys. kor. za rozprawę p. t. „Skrapianie wodoru przy uchyleniu strat zimna“.

Nagrodę konkursową im. Lindego w kwocie 675 rb. w kuponach nom. wart. (po odciegnięciu 5 proc. na podatek) przyznano prof. Józefowi Rostafińskiemu w Krakowie za pracę p. t. „Polskie nazwy roślin, ich części, zbiorowisk oraz bezpośrednich wytworów“.

Nagrodę im. Juljana Ursyna Niemcewicza w kwocie 1200 kor. przyznano drowi Ludwikowi Kolankowskiemu za pracę p. t. „Zygmunt August, Wielki Książę Litwy do roku 1548“.

Nagrodę z funduszu Adama Szajkiewicza, wynoszącą 1200 rb. przyznano po połowie, to jest po 600 rb., zmarłemu

prof. Augustowi Witkowskiemu za trzeci tom dzieła p. t. „Zasady fizyki“ i prof. Stanisławowi Zarembie za dzieło p. t. „Arytmetyka“ teoretyczna“.

Nagrodę z fundacji Konstantego Simona za prace, napisane w języku polskim z dziedziny fizyki i matematyki, a wynoszącą 900 kor., przyznano prof. Wacławowi Sterpińskiemu we Lwowie za dzieło p. t. „Zarys teorji mnogości“.

— 100-na rocznica smierci ks. Józefa.

Na posiedzeniu komitetu krakowskiego obchodu majowego prezes „Straży polskiej“, prof. M. Straszewski, poruszył sprawę urządzenia w Krakowie uroczystego obchodu setnej rocznicy smierci ks. Józefa Poniatowskiego pod Lipskiem w d. 19 października r. b. Komitet gorąco przyklasnął tej myśli i uchwalił jednomyślnie, łącznie ze „Strażą“, rozpocząć przygotowania.

— Kontrola nad ruchem ukraińskim.

Ministerjum spraw wewnętrznych poleciło gubernatorom południowych i południowo-zachodnich gubernji zebrać materiały o istniejących w gubernjach bibliotekach ukraińskich, wydawnictwach, pismach, instytucjach społecznych, oświatowych i kredytowych, w których językiem porozumiewawczym jest język ukraiński.

— Kobiety a reforma Sejmu galicyjskiego.

Do marszałka krajowego, Gołuchowskiego, zgłosiła się deputacja kobiet z żądaniem nadania kobietom praw wyborczych. Marszałek wyraził powątpiewanie co do skuteczności tych starań.

— Oryginalny słownik.

Zarząd główny więzień otrzymał od niektórych naczelników zakładów więziennych propozycję utworzenia kursów „języka złodziejskiego“ dla dozorców więziennych. Propozycja ta doznała podobno przychylnego przyjęcia. Dla dozorców więzień utworzone być mają obowiązkowe kursy tego języka. Nadto zarząd główny więzień przystępuje do opracowania „Słownika języka złodziejskiego“.

Książki nadesłane do redakcji.

Biblioteka pamiętników. Pamiętniki D-ra Józefa Franka, profesora Uniwersytetu Wileńskiego. Z francuskiego przetłumaczył, wstępem i uwagami opatrzył dr. Władysław Zahorski. Tom III. Wilno. Nakł. Tow. Udz. „Kurjer Litewski“. Marzec, r. 1913.

Biblioteka pamiętników. W przededniu wiosny ludów. Wspomnienia Aleksandra Guttrego z r. 1846 — 48. Wydał i przedmową opatrzył Maciej R. Wierzbicki. Wilno. Nakładem Tow. Udz. „Kurjer Litewski“. Kwiecień, r. 1913.

Tadeusz Miciński. „Xiądz Faust“. Powieść. Kraków Spółka nakładowa „Książka“ (bez daty).

Treść numeru.

Prawo i siła — J. S.

Z serca Polski — Wester.

Wrażenia poznańskie — B. H.

Pod skrzydłami tak zwanej... kultury pruskiej — St. Posner.

W sprawie teatru zimowego — rc.

Smutki młodości (wiersz) — Z. Kleszczyński.

Udział polaków w procesie Hussa — St. Poraj.

Pierwszy maja.

Prasa polska.

Głosy rosyjskie.

Na widnokręgu.

Nowa organizacja rewolucyjna.

Kronika.

KSIEGARNIA i SKŁAD NUT „KULTURA”

Wilno, ulica Ś-to Jerska 7.

Poleca następujące nowości:

Atkinson—Potęga myśli	1.20	Karma—Jasnowidzenie	—90
T. Benni—Samogłoski polskie (analiza, fi- zjologia, systematyka)	—50	Klewe—Swojskie małpy	1.50
Dominikiewicz—Chemja przetworów prze- mysłu włókiennego	3.—	Lewicki—Zarys Historji Polski wyd. I-e	1.80
M. Handelsman—Pod znakiem Napoleona	2.20	Łomnicki—„W usługach królowny“ pow. h. 2.—	
J. Haskowski—Gesty—powieść.	1.20	Schopenhauer—O religji	1.—
		Wierzbński—„Małżeństwo na próbę“ pow.	1.40
		Zbierzchowski—„Anioły płaczą“ powieść	1.40

NOWOŚĆ!

„POGRZEB LALKI”

Zdzisława Kleszczyńskiego

Skład główny w księgarni

J. Zawadzkiego—Wilno

Cena 1 rb. 50 kop.



Cena 1 rb. 50 kop.